

Kronika tygodniowa.

Każde miasto większe ma jakiś specjalny artykuł spożywczy, roznoszący jego sławę po całym świecie. Słynął Gdańsk swemi wódkami, Toruń piernikami, Warszawa cukierkami, Lwów miodami, Częstochowa kaszką, a Kraków kiełbasami. Nie tak dawno jeszcze, bo dziesięć lat temu wstecz, kiełbasy krakowskie rozniosły daleko na Zachód sławę podwawelskiego grodu, zwłaszcza we Wiedniu „krakowska kiełbasa” należała do bardzo poszukiwanych specyaliów. Zasługiwała też na to w całej pełni, jakoś jej bowiem, sposób wykonania i cena nie przedstawiały nic do życzenia. Wyrabiano ją z mięsa wieprzowego, rozróżniano kiełbasy krajane, siekane i połędwicowe, kilogram najtańszej, t. j. siekanej, kupić można było za ośmdziesiąt centów.

Przyszła wojna, po niej zmieniły się stosunki, a nie pozostała ona bez wpływu i na kiełbasy krakowskie, które otoczone dawną sławą, znajdują ciągle jeszcze chętnych nabywców, ale, przyznać trzeba, między dzisiejszymi a dawniejszymi zachodzi różnica większa, niż między dniem a nocą. Nazywają się „krakowskie”, bo stąd są rodem, namnożyło się ich sporo gatunków, że wspomniemy tylko: zwykłe siekane, krajane, połędwicowe, wieprzowe, czyste wieprzowe, wiejskie i t. d., z czego się je jednak wyrabiało, to było tajemnicą urzędową naszych panów masarzy, a strzegli jej pilniej, niż zawodowi dyplomaci lub politycy.

Przypadek zrzucił, że opinia publiczna dociekła nareszcie części kiełbasianej tajemnicy, bo oto doszło do jej wiadomości, iż pewien krakowski restaurator, wychodzący widocznie z założenia, że nic w naturze nie zginie, sporządza je z mięsa nierogacizny zapadłej na zaraźliwe choroby i przeznaczonej przez weterynarza na zakopanie. Proceder ten, prowadzony od dłuższego czasu, przynosił bardzo piękne dochody, pan restaurator miał w najkrótszym już czasie przejść z rzędu milionerów do miliardów.

Powinęła się noga, w Krakowie zrobił się niemały huczek, a każdy konsument kiełbasy mimowoli chwycił się za swój żywot, czując tam jakieś niesamowite łaskotania. Władze wkroczyły energicznie, restaurację, gdzie podawano podobne specjały, zamknęto, ale kiełbasy krakowskie dotknął cios, odbierający im dawną sławę, jeśli nie na zawsze, to w każdym razie na długie lata.

Wyczytawszy o tem w pismach codziennych zrozumiał dopiero ten i ów z obcych, odwiedzających w ostatnich czasach nasze miasto, dlaczego to wspomnienia z pobytu między nami tak długo pozostają nie tylko w sercu, ale i żołądku i każdy przysięgał sobie, że odwiedzając Kraków o kiełbasę ani spyta, a zaopatrzy się w nią na wyjeździe chyba w tym wypadku, jeśli ma w domu kogoś takiego, kogo chciałby się pozbyć z tego świata.

Restaurator ów, a raczej kiełbaśnik niefachowiec, tłumaczył się wprawdzie w płatnych komunikatach, iż jest czysty jak łza, a padł je dynie ofiarą ludzkiej złośliwości, urzędowe sprostowania powiedziały przecież zupełnie co innego, stając się przyczyną, iż i rodowity Krakowianin, dotychczas amator kiełbas, odwraca się od nich z niechęcią, chociażby pochodziły z najsolidniejszej firmy.

Na szczęście dla kiełbasy, sprawa ta przypadła na sam początek wakacji, zatem na okres, kiedy co drugi obywatel ma głowę nabita jeśli nie wyjazdem na wakacje, to bodaj wysłaniem rodziny na świeże powietrze. Ruch ten ożywił się niebywale w ostatnich dniach, gdyż pogoda jakoś się ustaliła, a temperatura podniosła. Ci, którzy wybrali się na willegiaturę zaopatrzeni w futra, kląną na tych, co ich do tego namówili, bo należało się spodziewać, że ze Stanów Zjednoczonych wcześniej czy później otrzymamy wraz z dolarami bodajby resztkę owych tropikalnych upałów, dręczących nieszczęśliwy naród, zmuszony gasić swe pragnienie czystą wodą.

Na świeże powietrze, korzystając z wakacji, wyjechała także większość naszych polityków wszelkich odcieni, na bezterminowe wybrał się b. minister skarbu, p. Grabski, oddając spuści-

znę po sobie panu Lindemu, ostatnio dyrektorowi Pocztowej Kasy Oszczędności.

Nominację nowego ministra, który przedtem piastował już tekę ministra poczt, przyjęto na ogół dość życzliwie, nawet prasa należąca do innych stronnictw politycznych, wyrażała się pochlebnie o jego zdolnościach finansowych. Aliści nie minęło pięć dni od nominacji, a tu, bezpośrednio po konferencji finansowej w Spale u prezydenta Wojciechowskiego rozchodzi się wieść, że minister Linde podaje się do dymisji, ponieważ nie posiada jasno określonego programu finansowego. Te same pisma, które go niedawno pasowały na ryce za, odmawiają mu teraz kwalifikacji, zarzucając stronnictwu z którego wyszedł, iż wyświadczyło niedźwiedzią przysługę swemu pupilowi, wysuwając go na tak odpowiedzialne stanowisko.

Zdaje się, że tak prędko nie przyjdzie do tego, już choćby tylko ze względu na ferye parlamentarne, podczas których zmiany takie załatwia się tylko w najkonieczniejszej potrzebie, a taka w tym wypadku nie zachodzi, dopóki się pan minister publicznie nie wygada, to jest nie wygłosi swego expose, na które można się zgodzić lub nie i wtedy dopiero myśleć o szukaniu następcy.

Tyle się tylko dotąd dowiedzieliśmy z warszawskiej prasy, że nowy minister nie jest takim fanatycznym zwolennikiem bonów złotych, jak jego poprzednik i nie będzie się starać o przymusowe ich wprowadzenie w życie codziennem, pozostawiając je w charakterze papierów przeznaczonych na lokatę oszczędności a dołożyć starań, aby marka polska odzyskała swe siły.

Pana ministra Grabskiego pożegnano po raz drugi bez wielkiego żalu, nie życząc mu bynajmniej, aby miał powrócić po raz trzeci i próbować zastosowania w praktyce teorii, które mogą być dobre, ale nie w życiu codziennem. Ze złotymi bonami narobił nam bigosu finansowego, ogromnie niestrawnego i stwierdzającego nie po raz pierwszy, jak się zdaje nie po raz ostatni, że u nas nie przewiduje się nic na dalszą metę, lecz żyje się z dnia na dzień. Prawda, że boni złote przyniosły skarbowi państwa chwilowo trochę więcej gotówki, lecz rażąco z tego powodu jest przedwczesna i nieuzasadniona, bo ustąpić musi miejsca wprost przeciwnemu uczuciu gdy przyjdzie termin ich wykupu, kiedy trzeba będzie płacić za nie więcej właścicielom, niż wpłynęło swojego czasu do kasy państwowej.

Spekulanci walutowi nie gniewają się bynajmniej na byłego ministra, gdyż dał im w rękę zupełnie legalny środek do prowadzenia operacji walutowych. Manipulując nimi po swojemu nie narażają się wcale na odpowiedzialność, a nawet mogą rościć sobie pretensję do uchodzenia za dobrodziejów skarbu państwa.

Dali temu wyraz krakowscy kamienicznicy, ogłaszając bardzo urzędowe wezwanie do ogółu, aby, nie czekając na uchwalenie w Sejmie ustawy o czynszach mieszkaniowych, już od pierwszego lipca b. r. zechcieli je płacić w złotych polskich, na razie w wysokości piętnaście procent przedwojennego czynszu, przyjmując normę obliczeniową ministeryalną złotych polskich na marki. W miłej zgodzie podali sobie w tym wypadku rękę członkowie zrzeszeń kamieniczników, tak chrześcijańskich jak i mieszanych i wszystko byłoby dobrze i w porządku gdyby na to zechciał się zgodzić także i interesowany bezpośrednio, to jest lokator. Lecz on powiada zupełnie słusznie:

— Bardzo ładnie!... Zapłacę wam nawet i dwadzieścia pięć procent przedwojennego czynszu, ale pod warunkiem, że moje pobory będą otrzymywać również w złotych polskich, licząc sto przedwojennych koron równających się, jak orzekł pan minister, sto sześciu złotym polskim!...

Ponieważ po zapowiedzi nowego ministra tego oczekiwać nie można, krakowscy kamienicznicy będą się musieli obejść smakiem i szkoda pieniędzy na druk szumnych ogłoszeń, którym chcieli ogłosić swą wolę narzucić!

Warto się przy tej sposobności zapytać czy w podobnie niejojalny sposób byliby sobie postąpili za czasów rządów zaborczych, które z pewnością nie zgodziłyby się na tak jaskrawe występowanie przeciw porządkowi publicznemu. Przyznajemy im zupełną rację, jeśli się czują pokrzywdzeni, ale powinni czekać, aż ich niedolę usunie ustawa, uchwalona przez Sejm, nie

zaś uprzedzać ją. Na otarcie łez mają przecież „świadczenia dodatkowe”, z których korzystają w całej pełni, a nikt przeciw temu nie oponuje.

Czy marka polska zdoła się jakoś ustabilizować pod nowymi rządami, to okaże dopiero przyszłość, nie nastąpi to jednak wcześniej, jak po przeprowadzeniu reformy dotychczasowych podatków, we wszystkich trzech byłych zabiorach zupełnie różnych, inaczej bowiem opodatkowani są byli Galicyanie inaczej Kongresowiacy, a inaczej Wielkopolanie. Na razie zwiększa się w miarę spadku wartości marki stawki podatkowe, co jest pokrzywdzeniem niektórych dzielnic, gdzie dany podatek był niższy, niż w innych.

Te ciągłe zwwyżki odbijają się bardzo niekorzystnie na handlu i przemyśle, ogół na nie narzeka, lecz je płaci.

W miarę tych podwyżek drożeje wszystko, w jak przyspieszonym idzie to tempie, przekonanie się można choćby tylko na cenach tytoniu, rosnących z miesiąca na miesiąc o pięćdziesiąt lub sto procent. Paczka tytoniu fajkowego, wartość dawnych dwu centów, kosztuje dziś trzy tysiące marek, nie można się zatem dziwić, że równocześnie i zapalki podskoczyły na pięćset marek za pudełko tyle też trzeba płacić za zwykłą bułkę o wadze sześciu deka.

Stanowisko nadzwyczajnego komisarza do walki z lichwą po usąpieniu p. Hartleba nie zostało obsadzone, mamy natomiast komisarza drożyznianego i komisję obliczającą procentowe zwiększanie się drożyzny co miesiąc, noi oczywiście drożyznę, panoszącą się pod ich rządami coraz bardziej.

Zaczęliśmy od Gdańska, wspominając o jego wódkach, uwiecznionych nawet przez Mickiewicza w „Panu Todeuszu”, bodaj przy końcu kroniki wrócić musimy nad Bałtyk, skoro sprawa stosunku naszego do tak zwanego „wolnego miasta” staje się coraz bardziej aktualną i piekącą.

Teraz dopiero widzi każdy nieuprzedzony, jaką krzywdę wyrządzono Polsce, zamykając jej dostęp do jej jedyne go naturalnego portu, położonego u ujścia głównej naszej drogi wodnej. Stało się zadość woli nie tyle Rady Najwyższej, ile Lloyda Georgea, który odgrażał się zawsze, że musi zdeptać niemiecką gadzinę, a w rezultacie otaczał i otacza ją dotąd swymi względami. Gdy mieliśmy w Europie jedne zjednoczone Niemcy, było dość kłopotu, po ogłoszeniu traktatu wersalskiego jest daleko więcej, bo mamy w Europie aż trzy państwa niemieckie, właściwe Niemcy, Gdańsk i Prusy Wschodnie, politycznie wprawdzie rozdzielone, lecz stanowiące przecież jedną całość, marzącą stale o odwiecie.

W Gdańsku ulokowano nas na zasadzie równych praw z wolnym miastem, lecz senat gdański, w którym rej wodzą pruscy hakatyści, kpi sobie w żywe oczy z postanowień traktatu i działa na niekorzyść Polski, jak gdyby pewny bezkarności. Wszystkie upominania się Polaków o swe aż nazbyt widoczne krzywdy, spotykają z lekceważącym protestem ze strony Gdańszczan, skargi do najwyższych areopagów, jak Liga Narodów lub Rada Ambasadorów, nie odnoszą skutku, przedstawiciele senatu gdańskiego potrafią się zawsze wykręcić sianem i przedstawić się w roli pokrzywdzonych, a równocześnie berlińska prasa rozszerza alarmujące wieści o rzekomo przez Polskę czynionych przygotowaniach do zbrojnego zajęcia wolnego miasta i pogwałcenia w ten sposób traktatu wersalskiego. Niedawno budapeszteńskie pisma zamieściły telegram, datowany z Berlina, że generał Żeligowski organizuje akcję orężnego zajęcia Gdańska.

Autorowie depeszy sami w nią z pewnością nie wierzyli, ale podali ją na żer żądnych podobnych wiadomości, bo rząd polski z podobnym zamiarem zupełnie się nie nosi, a jeśli przygotowuje jakieś represje wobec rozzuchwalonych bezkarnością Gdańszczan, to są one i będą natury ekonomicznej, a nie wojskowej. Te zarządzenia rządu polskiego, skierowane przeciw Gdańskowi, muszą się odbić na nim daleko boleśniej, dobrze on to rozumie i przeczuwa i dlatego woła gwałtu o ratunek przed imperyalizmem Polski, która przecież nie żąda nic więcej, jak tylko poszanowania swych słusznych praw, przyznanych jej przez Radę Najwyższą, a przyjętych i przez Gdańsk, który traktat wersalski podpisał.